



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

REKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

„Zawsze uroczą Dolina, nigdy chyba dotąd nie jaśniała takim blaskiem piękna, jak wczoraj. Tysiące różnokolorowych lampionów chińskich, obfitość światła elektrycznego, ognie bengalskie, zalewały ogród potokami światła, tworząc isticz czarodziejski obraz!”

Szkoda, że łaskawi sprawozdawcy dziennikarscy, pisząc powyższe słowa, zapomnieli wspomnieć o niebawem dotąd piękności balonach, skrzących się brylantami najczystszej wody, z niezrównaną lekkością unoszących się na falach eteru, o balonach, które zanim wzleciały w napowietrzne regiony, błędziły długą chwilę w jakiejś zadumie tęsknej pomiędzy drzew konarami, cicho, jak duchy, przenosząc się z miejsca na miejsce. Dlaczego nie wspomniano o piramidzie kwiatów, która swym szczytem dotykała gwiazd niebieskich?.. Dlaczego?..

Kuryerowy sprawozdawca za uszy się złapał.

— Ale, szanowny panie, co pan bajesz o balonach, jakich dotąd świat jeszcze nie widział? Były to sobie zwykłe baloniki, ot, po prostu zabawka dla dzieci (których notabene nie było). Że uleciały cicho i nie wiadomo nawet kiedy, to prawda; ale i skrzanie się brylantami, snucie się ich pomiędzy drzewami, jak to robią melancholicy lub zakochani — gdzież pan to widział? Albo owa niebotyczna piramida z kwiatów?.. Upewniam pana, że podobnych balonów, ani piramid wcale nie było.

— To prawda — ja na to. — Ale, jeżeliś pan dojrzał obfitość światła elektrycznego i widział ognie bengalskie, które, potokami światła, zalewają ogród, tworzyły czarodziejski obraz — to z jakiej

racyi ja nie mogłem owych balonów, albo owej wspaniałej piramidy zobaczyć? Wolność panu — wolność i mniel..

Chmurne spojrzenie rzucił na mnie mój przeciwnik i odszedł, rozmyślając prawdopodobnie nad bengalskimi ogniami, zalewającymi czarodziejskim światłem uroczą Dolinę.

A jednak miało to wszystko być w Dolinie Szwajcarskiej, w dniu zabawy, z której osiągnięty niemały zysk poszedł na cel dobry, bo na Instytut moralnie zaniedbanych chłopców.

Że cel osiągnięty został w zupełności, że znana dobroczynność pocziwego miasta i tym razem nie zawiodła pokładanych w niej nadziei — o tem najmniejszej sprzeczki być nie może, ale gdzie owe potoki światła, owe czary sprawione bengalskimi ogniami? — tego, niestety! dojrzeć mi się nie udało. Po co te przesadzone sprawozdania, to — z przeproszeniem — kłamstwo reporterów — domyślić się mi trudno. Nie dziwimy się, choć zupełnie pochwalamy — użycie przesadnych reklam, poprzedzających podobnego rodzaju zabawy: dla zachęty tłumów obiecuje się więcej, niż się daje, a że w tych wypadkach chodzi głównie o pomoc dla takiej a takiej Instytucyi, zatem — hołduje się niezbyt moralnej zasadzie, że cel uświęca środki. Jednakże te środki za często nadużywane zostają. Jeżeli już niema innego sposobu wydobycia grosza na cel dany, jak za pomocą bawidełek różnego rodzaju, niechże rzeczywiście lampiony chińskie nie będą lichą klejonką brudnej barwy tekturki, niech rzeczywiście potoki światła zalewają ogród, a ognie bengalskie, w różnych zapalane miejscach, piękną grą światła tworzą czarodziejski obraz. Ale, jako żywo — w pierwszej lepszej mieście byłyby lepsze ognie, a lampiony większą rozmaitością barw i kształtów bawiłyby oko. Pod tym względem urządzający wystawę nie wywiązali się zbyt pomyślnie z zadania, a ognie bengalskie, zalewające potokami światła uroczą Dolinę i cza-

rodziejski obraz tworzące — były wprost — godną potępienia szopką. — Bo oto, wyobraźcie sobie, szanowni czytelnicy — gdy przyszła chwila urzędzenia czarownego obrazu, na dach niskiego bocznego budynku wygramolił się rekrut jakiś i tutkę zapalił. Małeńki błado-zielony ogieniek przyktnął sobie — oświecił tylko dość wyraźnie przykucniętego na dachu wojaka, który, niezadowolony snadź z niewygodnej pozycyi, podniósł się i przybrawszy pozę kolosu rodyjskiego, prosto w nos sobie świecił błado-zielonym ogienkiem. Zaśmiano się z podobnego widowiska — ale, widocznie, że byli tacy, którym się ten obraz czarodziejsko-pięknym wydał, a potoki światła ogród zalały. Dla nas jednak to zakrawało na drwiny z publiczności, na lekceważenie jej; aby tylko tłum ściągnąć, a później przyktnąć mu w nos błado-zielonym ogienkiem i — kwita. Taka heca niesmaczną-by była nawet w jakiejś zapadłej mieście — cóż zaś mówić o Warszawie? Gdy ten obraz, isticz czarodziejski, potokiem światła błysnął przed oczyma zdumionej publiczności, postłyszałem nagle za sobą:

— Was ist das?

Byłto przyjezdny obywatel Germanii.

Herr Jesu — jak on patrzył. Ten rzeczywiście zdziwił się potokami światła i czarodziejskim obrazem.

Ale cóż! to biedne czelczyisko jest tak uorganizowane, że może widzieć czego niema i wszystko wytłómaczyć. — Zawalili się pod idącymi na galerję do cyrku schody drewniane, zbudowane przed paru tygodniami; jedna z pań zwichnęła, druga złamała nogę, inne potłukły się niemilościernie. Dałbym panu budowniczemu bambusem za taką robotę, lecz rzeczoznawcy nazajutrz opatrzyli miejsce wypadku i orzekli: że — deszcz temu wszystkiemu był winien.

— A to co? zapytacie może...

Jeden z dzienników tłómaczy: woda podmyła słupy i dla tego zawalili się schody.

A, moi panowie od słupów, to stawiajcie je tak, ażeby nie walily się. Jeżeli to dla was jest igraszką, to może komuś chodzi o całość swych nóg. W podobny sposób mógłby się i przywłaszczyciel cudzej portmonetki tłómaczyć: nie ja jestem winien, ale kieszeń, która za duży otwór miała. Ale, pomijając nawet trwałość budowy, sam cyrk letni nie przyczynia się weale do ozdoby uroczej Doliny. Najbardziej upośledzona prowincjonalna miejscina nie mogłaby brzydszej budy postawić. Owe drzwi główne, owa drażliwa na zmiany temperatury klatka schodowa z balkonem u góry, to jest sobie robota wprost od siekiery. A godziłoby się przecież choćby słupy i baryerę ociosać uczciwiej, olejną farbą powlec, poświęcić coś dla, bardzo skromnych w tym wypadku, wymagań estetyki.

Smutna katastrofa ze schodami na krótką chwilę tylko zamąciła zabawę, i to tych jej uczestników, którzy bliżej znajdowali się miejsca wypadku. Nawet widowisko cyrkowe nie zostało przerwane; zaniefortunne zaś ognie bengalskie i szpetne lampiony chińskie wynagrodzono nas udziałem Noskowskiego, Dowiakowskiej i Hertza. Hucznie brawem witano i żegnano primadonnę naszej opery, chóry Towarzystwa Muzycznego wybornie wywiązywały się z zadania: to też nie dziwnego, że publiczność bawiła się dobrze, choć nie tonęła w blaskach lampionów i światłach bengalskich ogniów. — Na frontonie pałacu Doliny Szwajcarskiej piękny transparent, przedstawiający anioła, wyciągającego dłoń do chłopięcia, które się w przepaść usuwa — przykuwał wzrok widzów na zabawę śpieszących. Zastąpiłem imię malarza, który pracując swą na cel piękny ofiarował — był nim p. Ludomir Szpadkowski.

Zaznaczyliśmy niejednokrotnie na tym miejscu, że się Warszawa upięknia, że — jeśli nie obfituje w piękne pomniki, które, bodaj czy nie są największą ozdobą placów miejskich — to natomiast dba coraz więcej o wygląd zewnętrzny. Każdy dom nowy odznacza się pewnym stylem, pewną fantazją, rozmaitością architektonicznych linii, które tak mile wzrok bawią. Mimo tego, niby budzącego się czy rodzącego zamyślenia do piękna, smutne na nas wrażenie czyni karygodne niedbalstwo w czuwaniu nad dziełami sztuki i obchodzeniu się z niemi. Piękny posąg Chrystusa na krążanku kościoła Ś-to krzyckiego pęka i kruszy się zwolna, a dotąd, mimo niejednokrotnych wezwań pism naszych, nie zawiązał się żaden komitet, któryby się zajął zebraniem składek, by wspaniałe dzieło mistrza w marmur przemienić, lub bronz; w jednym z ołtarzów kościoła św. Piotra i Pawła w pięknej rzeźbie marmurowej Kucharzewskiego, przedstawiającej „Chrystusa w otchłani“ spostrzegliśmy obtłuczono palec u ręki Zbawiciela; tamże na cmentarzu stojąca grupa Pyrowicza „Chrystus i Jawno-grzesznica“ ma uszkodzone stopy; posąg Kazimierza Brodzińskiego w kościele Wizytek boleśnie równie patrzy, mając dłonie okaleczone. Dopóki uszkodzenia są niewielkie, poprawić łatwo, — później już większego nakładu i trudu będzie potrzeba.

— Cóż z nowości nam przyniesiesz, ale tych pomysłnych nowości, kronikarzu? — pytacie, szanowni czytelnicy.

— Hm... w kłopotcie jestem.

— Jednakże...?

— Co?

— Musisz mieć torbę całą nowinek, powinieneś ją mieć.

— Tak... tak... tak...

— Za tem...?

— Zatem...?

— Cóż zatem?

— Pogoda nam nie dopisuje...

— Ależ o tem wiemy i bez ciebie, szanowny panie!

— Deszcz pada...

— O jejl... chodziła czapla po desce, czy mówić jeszcze?

— Nowinek huk...

— A! — nakoniec!

— Ale o ile są prawdziwe, ręczyć nie mogę.

— Tymczasem mniejsza o prawdę — co słyhać na bożym świecie?

— Wolabym mówić o tem, czego nie słyhać, ale, że to za trudne jest zadanie, będę więc mówił o różnych projektach, o jednym przynajmniej, który oby jaknajprędzej teńną pełni życia.

Pewne kółko osób, na którego czele stoi p. Antoni Kol... urzędnik z zawodu, lecz wykształcony przyrodnik, podjęło myśl założenia Towarzystwa, którego zadaniem było uprzystępnienie, należącem do niego członkom, wycieczki po kraju. Pan K. utrzymuje, że niewielkie miesięczne składki w ciągu roku pozwolą każdemu należącemu do stowarzyszenia użyć rokrocznie kilku tygodniowej przejażdżki, co — przy jednorazowym wydatku, nie łatwym-by było. Projektodawca opracowuje obecnie statut dla nowego stowarzyszenia, wzorowany na przypisach zagranicznych podobnych Towarzystw, a głównie szwajcarskich. — Oczywiście, że same miesięczne składki uczestników, (boć tu przeważnie chodzi o ludzi niezamożnych, bogaci bez kosztów i stowarzyszeń się obęda) nie opędziłyby koniecznych na dłuższą wycieczkę wydatków, pewnemu więc brakowi przyjdą w pomoc odczyty i zabawy, które mają powiększyć jednorazowy wydatek.

I coż mamy temu projektowi do zarzucenia?

Zdaje się, że nie — wszechstrony poklask tylko spotkać go powinien, bo iluż to jest ludzi pracy, którym należy się nieco szerszego powietrza, nieco więcej przestrzeni, nieco więcej swobody! Wycieczki gremialne tańszym kosztem a z większym pożytkiem odbywać się mogą; ludzie poznają się lepiej, dopełniają się nawzajem, niejednokrotnie ściślejszym węzłem przyjaźni się łączą. Oby ten projekt nie był marzeniem tylko, słówkiem na wiatr rzuconem! .

Zobaczmy! .

Z nowości literackich mamy do zanotowania dwa wydawnictwa.

Na rzecz towarzystwa dobroczynności w Petersburgu, znajdującem się przy kościele świętej Katarzyny — wyszła księga zbiorowa, dużych rozmiarów o treści poważnej. Udział w niej wzięły najpierwsze siły pisarzy, naszych; dość wspomnieć Chmielowskich, Korzonów, Karłowiczów, Jeżów, Tarnowskich, Spasowiczów, nazwiska Konopnickiej, Deotymy i t. d.

Dzieło to p. t. „Charitas“ godne wszelkiej pochwały. Zjednoczyły się w niem ludzie pod względem religijnych i społecznych przekonań na dwóch biegunach stojący. Biskupi i Arcybiskupi obok skrajnych znaleźli się pozytywistów; „miłosierdzie“ połączyło dłonie częstokroć nieprzyjaznych obozów. Ta zgoda jest tak piękna, że pragnąć by tylko należało, by i na innych polach tej spójni nie brakło.

Drugą literacką nowością jest czwarte wydanie znakomitego dzieła P. Chmielowskiego: „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.“ — Rzecz ta pojawia się w szacie odświętnej, przejrzana i powiększona przez autora, ozdobiona licznymi ilustracjami. Piękny format, druk, papier, rysunki, dostępność ceny a najbardziej samo imię autora, powinno każdego czytelnika polskiego zachęcić do nabycia tego cennego dzieła.

??



BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

XVII.

Przed oficyną w Rumszanach, w kilka tygodni po świętach, zatrzymał się powóz Stanisława.

— Czy jest tu Maciej? — pyta Balbiny, karmiaczej kury przed domem, młody Kamieniecki, uchylając grzecznie kapelusza.

— Jest, jest! — odpowiada staruszka — pędem przyleci.

Uśmiechnął się Stanisław.

— Lepiej powoli — rzekł. — Niech pani Balbina pamięta, ile to już lat pocziwy Maciej biega po świecie.

Wyskoczył z powozu; Balbina wprowadziła go do oficyny.

— Poszedł do pałacu — raportowała, fartuchem zmiatając pył z krzesła i podsuwając go z zapraszającym dygiem Stanisławowi.

— On tam wiecznie do tych portretów chodzi... Dziś markotny jakiś; radził o cześć z Kwapiewiczem, byli u proboszcza... Nie wiem co tam takiego, bom nie miała czasu pytać.

— Czy Kwapiewicz jest jeszcze tutaj? — zapytał skwapliwie Stanisław.

— Dopiero co odjechał, jaśnie panie. A Maciej do pałacu poleciał.

— To i ja do pałacu pójde. Dawnom tam już nie był... Do widzenia, pani Balbino. Zapraszam się do pani na pierożki z serem; nikt ich tak nie przyrządza, jak pani Balbina. Może i karasie w śmietanie się znajdują? Dopieroż to będzie obiadek!

Twarz staruszki zajaśniała radością.

— W lot wszystko będzie, jaśnie panie! I kurczatko się upieczą i leguminka może parzona?

— Niechaj będzie parzona — śmiał się Stanisław. — Pani Balbina chce mnie na żarłoka wykierować... Zgoda, zgoda na wszystko; proszę się tylko bardzo nie męczyć. Do widzenia!

Staruszka pretensjonalnie dygnęła; Stanisław poszedł do pałacu.

— A to mi gość, mosanie! — zawołał Maciej, spostrzegłszy wchodzącego — a to gość! Niechże też Bóg Najwyższy zdrowia i szczęścia udzieli, że jasny pan o starym sobie przypomniał! Człek jak palec na świecie! Żeby nie te portrety, mosanie, nie byłoby co robić.

Stanisław z uczuciem dłoń starego uściśnął.

— Stęskniłem się za wami, kochany Macieju — rzekł. — Zacheciało mi się Rumszańskim powietrzem odetchnąć. Cóż tu słyhać u was? Może zapolujemy? Kaczek podobno mnóstwo macie?

Stary westchnął.

— Zle słyhać, panie — szepnął. — Bardzo źle...

— Cóż takiego?

Zaniepokojony Stanisław zerwał się z krzesła i stanął przed Maciejem... — Może panna Lila chora?

Tak zbladł, że stary aż się przeląkł.

— Nie, nie, jaśnie panie — odparł szybko. — Uspokóje się... Nawet... jakby to powiedzieć? w tem złem jest i trochę dobrego mosanie...

— Mój Macieju, mój kochany, mów, mów byle prędzej; pieczesz mię na wolnym ogniu. Cóż się stało?

— Był tu Kwapiewicz dzisiaj — zaczął stary powoli — przyjechał po radę... Pani pisała z Paryża o pieniądze na drogę... bo pono panienka uparła się wracać... Hrabia Biński już wrócił. Lokaj, co to jeździł z hrabią do Paryża, mówił Kwapiewiczowi, mosanie, jakoby z naszą panienką zerwane. Hrabia pono nie chce... Ale to chyba nie może być.

Stanisław chwycił za poręcz krzesła i zbladł okropnie.

— Co, co mówicie, Macieju? — pyta gwałtownie. — Z hrabią zerwane?

— Ano tak — potwierdził Maciej. — Meldował mi dziś o tem Kwapiewicz i musi być prawda, bo ten zgnitek hrabia, mosanie, i na jarmarku w Klonowie w kompanii to samo gadał. Jak to w małym miasteczku: zaraz rozgadali, to tu, to owdzie ale chyba tak i jest, bo pani o ślubie nie wspomina, tylko woła gwałtu o pieniądze. Musiała im tam bieda dopiec... Stara jak stara, niechby tam, aleśmy się zafrasowali srodze o panienkę. Kwapiewicz pieniędzy nie ma, nikt pożyczycie nie chce... Zagórowo zadłużone aż strach! Miał tam dziś jeszcze do Lajzera pojechać, — nie wiem czy dostanie.

Stanisław słyhał; smutek i nadzieja miotaly nim naprzemian.

— Więc panie nie wróca, dopóki Kwapiewicz

nie pośle im pieniędzy? Czy tak?—pyta, prawie nieprzytomny.

— Ano tak, a za cóżby wróciły? Pani pisze, że tam ciągną na wszystkie strony... Ot gospodarstwo!—rzekł stary i ręką machnął niechętnie.

Stanisław powstał. Ani chwili nie mógłby teraz usiedzieć na miejscu. Nadzieja odzyskania Lili oszołomiła go. Trzeba jechać natychmiast i ratować ją... To była myśl pierwsza, która go podniosła z krzesła.

— Macieju kochany—rzekł, ściskając starego—ja muszę jechać. Nie można samych pań w Paryżu zostawić. Jeżeli hrabia wrócił i jeżeli go p. Lila odepchnęła, boć, naturalnie, tak było, nie inaczej, pozostały tam same, bez opieki. Bywaj zdrów, stary. Jadę natychmiast!

Wybiegł z pałacu, wołając o konie; Maciej mu nadążyć nie mógł.

— A to, mosanie, gorąca krew—mruczał.—Leci, a ja tehu złapać nie mogę.

— Gdzie to pani Balbina? — pyta Stanisław, wpadłszy do oficyny. Zajrzał do kuchni, Balbina, nadziewała kuraki i gderała na służącą Agatkę, że ser do pierogów źle utarty.

— Zaraz, zaraz będzie obiad—zapewniała, spostrzegłszy Stanisława.—Ciasto zarobione, kuraki idą na rożen... tylko co karasie, to chyba...

Stanisław nie pozwolił jej dokończyć.

— Dziękuję, dziękuję za wszystko, p. Balbino. Wyobraź sobie, kochana pani, że zjadłem już i pierożki i kuraki, nie wyłączając całego półmiska karasli!

— Kiedy, z przeproszeniem jaśnie pana, karasie jeszcze w stawie... Ludzie się rozeszli, nie ma kto sieci założyć—tłómaczy Balbina, oglądając się z przerażeniem na Agatkę, która, korzystając z zamieszania, ze skupioną uwagą wyławiała palcami rodzynki z przygotowanego do pierożków sera.

— Duchem będą pierogi—zapewnia śmiejącego się Stanisława. — Duchem będą. — Już ja ci przylepię rodzynka — dodaje w stronę Agatki. — Niech tylko jaśnie pan poczeka.

— Co? Mam czekać aż mi pani Balbina rodzynka przylepi? Nie, wołuję niech się to skończy na obietnicy — mówi Stanisław, śmiejąc się serdecznie.

— Przyjadę kiedykolwiek, — zapewnia, widząc zasmuconą minę staruszki. — Stokrotnie przepraszam, że narobiłem ambarasu. — Co p. Balbinie przywieźć z Paryża?—pyta z ożywieniem.—Może taki tiul ze wstążkami, jak to pani od święta nosi... piękna rzecz i wspaniale pani wtedy wygląda. A może bursztynowy różaniec, co? pewno pani nie ma takiego?

Uściskał ręce zdumionej staruszki i zwrócił się do drzwi.

— Masz, mała, na katechizm—rzekł, rzucając Agatce parę srebrnych złotych. — Nauczysz się, że łakomstwo jest jednym z grzechów głównych...

Wybiegł, wskoczył do powozu i zniknął wkrótce w tumanach kurzu.

Stara Balbina nie mogła wyjść z osłupienia. Karasie, czepek ze wstążkami; legumina, o którą się tak lękała, bursztynowy różaniec i nagły odjazd p. Kamienieckiego, który miał być przecież na obiedzie — wszystko to pomieszało jej się w głowie.

Maciej, patrząc na nią, brał się za boki od śmiechu.

— Będziemy mieli smaczny obiad, p. Balbino. He?

Staruszka się przeżegnała.

— Święte Imię Pańskie, co się to stało?—pyta zdumiona.—Kawaler taki stateczny, a tu ni z tego, ni z owego i karasi mu się odechciało i pierogów. Nie nie rozumiem; coś mi o różańcu gadał...

— Zaraz ja to p. Balbinie wytłómaczę — mówi śmiejąc się Maciej.—Agatko! weź ino trochę grochu i zasyp gołębom.

Agatka wybiegła, stary zwrócił się do Balbiny.

— Mam dla p. Balbiny coś dobrego — mówi, uśmiechając się filuternie.—Nasza „mała“ wraca do domu i ten koszlawy hrabia już nie będzie w pałacu rządził.

Staruszka wytrzeszczyła oczy.

— „Mała“ wraca? Czyż to być może? Gdzie, kiedy? Bogu dzięki!

— Niedługo—odpowiada Maciej.—P. Kamieniecki jedzie po nią. Stara długów narobiła i nie chce jej puścić, Kwapiwicz pieniędzy nie ma...

— O mój Boże!—Balbina załamała ręce.—Więc cóż będzie? A mówiliście, Macieju, że wracają?...

— Ot babski rozum,—zachnął się Maciej.—Toć wiem, co mówię. Hrabia już się nie żeni z panienką — nie wiadomo o co im poszło... P. Stanisław, myślałem, mosanie, że mu rozum pomieszało, tak się ucieszył, i dlatego ot, wołał już p. Balbiny pierogów nie jeść... Duchem poleci do Paryża, zapłaci długi i przywiezie panienkę.

Stary ręce zacierał, Balbina lzy fartuchem otarła.

— Chwała Bogu — szeptała cicho — chwała Bogu!

Stanisław wracał do domu prawie nieprzytomny. Jakże odmiennych wrażeń doznawał teraz, mimo, że tylko kilka godzin dzieliło go od chwili, gdy tę samą drogę przebywał!

— Lila—Lila—grało mu w duszy anielską melodią... Śmiały się do niego drzewa i pola, które w szybkim pędzie mijał, szumiały lasy cichą piosenką o szczęściu, radowało się wszystko wokoło.

— Lila jest wolną—powtarzał sobie co chwila, pojąc się dźwiękiem tych słów. Ach, jak on ją kochał! Tylokrotnie przecież próbował zniszczyć, sflumować w sobie to uczucie, a ono żyło w jego sercu, zawsze świeże i gorące.

— Matko najdroższa — rzekł po przybyciu do domu, kłękając przed p. Kamieniecką. — Wyjeżdżam dziś nocnym pociągiem. Czy nie będę ci potrzebny przez kilka tygodni? Nie mogę jeszcze dnia powrotu oznaczyć.

Patrzył jej prosto w twarz jaśniejącymi od szczęścia oczyma.— Muszę jechać, matko moja — mówi pieszczotliwie — muszę jechać...

Matka od razu domyśliła się wszystkiego. Wiedziała, że o Lili nie zapomni; widziała jego smutek głęboki, gdy ją utracił; więc teraz nikt, tylko ona wywołać mogła ten blask szczęścia, który mu twarz opromieniał.

— Gdzie jedziesz, Stasiu? — pyta, usiłując pokonać drżenie.—I zkądże tak nagle?

— Jadę do Paryża, matko—odparł. — Jestem bardzo szczęśliwy. Lila zerwała z hrabią... Przechywałem prawie, że tak się stanie. Babka życzyła sobie tego związku. Lila chciała widocznie poświęcić się dla niej... Czy i to, matko, nie wpłynęło na łagodniejszy, niż dotąd, sąd o mojej Lili?

Matka nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Więc ta nieszczęsna miłość odżyje na nowo i oczywiście zakończy się u ołtarza!—myślała z boleścią, nie mogąc ukryć przed synem, o ile dotknęła ją ta wiadomość.

Stanisław wziął ją w objęcia.

— Ej, mateczko—mówi tklivie, — nie możesz się jakoś do mojej Lili przekonać... Jak się to zgadza z twojem anielskim sercem? Cóż ona winna, że jest sierotą, że wychowała ją ograniczona i oschłego serca kobieta? Już sam fakt, że z hrabią zerwała, wiele na jej korzyść przemawia. Dolewska wymogła na niej słowo, ale szlachetna dziewczyna cofnęła się wczas, nie chcąc przysięgać kłamliwie. Czy możesz mi zaprzeczyć, matko?

Nie zaprzeczała. Po co? Ona w zerwaniu z hrabią przeczuwała nowy kaprys Lili... Czyż on-by temu uwierzył?

— Mój drogi Stasiu — przemówiła wreszcie — nie dziw, że się boję. Daj Boże, aby przeczec matki zawiodło. Trudno, wybrałeś...

Kropliste lzy połykał się jej z oczu, syn patrzył na nią z żalem.

— Jakże to smutne!—rzekł—więc moje szczęście jest twojem nieszczęściem, matko! Moja Lili nie będzie miała w tobie matki, nie pokochasz jej nigdy tak, jak kochasz Halinę... Nie wszystkie, matko, rodzą się doskonałymi—dodał z żalem.

— Nie mówmy już o tem, mój synu. Jeżeli połączenie się z Lila uważasz za konieczny warunek do szczęścia, rób jak chcesz i niech ci Bóg błogosławi. Czas myśleć o podróży. Kiedyż chcesz jechać? Czy wydałeś już dyspozycję?

— Nie, matko. Nie mogłem tego uczynić bez

uprzedniego z tobą porozumienia—odparł, całując tklivie zimne ręce matki.

Uśmiechnęła się smutnym uśmiechem i pocałowała syna.

— Dobre z ciebie dziecko—szepnęła. Podniosła się z krzesła i zadzwoniła.

— Powiedz Jakubowi co ma zapakować, dla ciebie — rzekła. — Ja mam ważną konferencją z Woźnią, muszę odejść.

Pocałowała syna raz jeszcze i wyszła.

Stanisław popatrzył za nią.

— Nawet takie święte jak ona istoty, nie są wolne od uprzedzeń—pomyślał.—Gdybym się żenił z Haliną, byłaby najszczęśliwszą, żenię się z Lila i to ją bez żadnych dobrych danych unieszczęśliwia.

O Lili! jak ja cię muszę kochać, jeżeli patrząc na jej ból i rozpacz, odstąpić od ciebie nie chcę!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dalszy ciąg).

O pół wieku później, z mroków, jakie jeszcze nad duchowem obliczem społeczeństwa wisiały, wynurza nam się odmienna zupełnie postać poetki, o pięknych, ale surowych zarysach oblicza duchowego. Jest to Konstancya z Ryków Benisławska. Niezwykła to była organizacja artystyczna, ale nader jednostronna. Wyższe wykształcenie i odczytanie w dziełach filozofii starożytnej, w księgach scholastyków i Ojców Kościoła poruszyło w poetce jedną tylko stronę umysłową—dało jej zadumę refleksyjną metafizyczno-teologiczną, stworzyło w niej ducha ascetyzmu i reakcji konserwatywnej. Tę jednakże refleksją przerywa często serdeczny głos uniesień religijnych. Serce i umysł kobiety stoją wysoko ponad sprawami tego świata i patrzy na nie z wyniosłego piedestału wiary. Poważna, surowa, a praktyczna w życiu i zapobiegliwa nawet pani, w pieśni tylko Bogu serce swe otwiera, a na ziemską dolę człowieka z pogardą spogląda. Widocznie nie dla świata, którym gardziła, snuła promienie ducha twórczego, bo zbiór jej pieśni, z inicjatywy rodziny ogłoszony, nosi tytuł: „Pieśni, sobie śpiewane od Konstancyi z Ryków Benisławskiej — za naleganiem przyjaciół z cienia wiejskiego na jaśnią wydane.“

W rymowanych traktatach filozoficzno-teologicznych, w których poetka chce zbadać istotę Boga, retoryka przeważa nad uczuciem. Zamiast najwzrostu rozumowania Drużbackiej, które jednak znajduje żywioł poetyczny w odczuciu Istoty Najwyższej w przyrodzie, widzimy tu refleksyjną ducha, w spekulacyjnym rozmyślaniu zaprawionego i lubiącego się w scholastyce średniowiecznej, nic wspólnego z poezją niemającej.

Niekiedy jednak z tych wyżyn, abstrakcyjnego myślenia rzuci myśl poetki na ziemię promień cieplejszy, gdy błaga Boga, aby ludziom chleba powszedniego nie zabrakło, i aby było „ziemi chorej zdrowo,“ lub gdy przemawia do Pana nad paną, jako do Ojca wszystkich, wołając:

„Ojcie nasz, boś Ty Ojcem powszechnym jest [ziemi,
„Równie nad złotogłowem, jako siermiężnemi,
„Równie Ty masz o wszystkich pieczę i staranie,
„Wielkiego i małego Ty uczynił, Pani!“

Czasem nawet odezwie się w pieśni poetki praktyczny rozum zwykłej kobiety, rządnej i gospodarniej. Wtedy prosi Boga o dary ziemskie:

„Przypórz mi w komorze,
Błogosław mi na roli, błogosław w oborze,
Błogosław po wsiach moich, błogosław i w domu.“

Wygłasza w utworach swych Beniśławska wiele pojęć scholastyki średniowiecznej, jak np. o tem, że natura ludzka jest grzeszną, że wola człowieka na bezdroża prowadzi, więc ją unicestwiać należy, że śmierć jest jedynym wybawieniem dla niedoli ludzkiej.

Gdy jednak zapomni na chwilę o swojej uczoności scholastycznej, gdy ulega tylko natchnieniu i głosowi serca, naówczas wiara jej przemawia żywą i szczerą nutą gorącej poezji. Naówczas tworzy pieśń podniosłą w potęgę słowa, w niepośledniej formie artystycznej, w obrazach niezwykle malowniczych:

„Przyjdź, przyjdź królestwo Twoje! Nie tak jęknę
[leci
„Raniony od postrzału, do leczystych kwieci,
„Nie tak strzała do celu, do góry płomienie,
„Jak się moje unosi do ciebie pragnieniem!“

Jakże odmiennymi są dwie postaci poetek, które z kolei starałem się odtworzyć! Družbacką interessowało życie jednostkowe i społeczne we wszystkich jego objawach, a jasne światło postępu uśmiechało się do niej ożywczym swym blaskiem. Beniśławska—to duch arystokratyczny, w pojęciu konserwatyzmu i scholastyki religijnej, jak w ciepłą szatę odziany, w życiu praktyczny, chłodny, a rozplamieniaczy się tylko w wysokiej atmosferze dumań filozoficzno-teologicznych. Piśmiennictwo zyskało w utworach tej poetki kilka kart szczerego natchnienia i niezwykłego smaku artystycznego, ale do szerokich fal życia i rozwoju myśli, twórczość jej ożywionym nie popłynęła strumieniem. Nie było w pieśni Beniśławskiej żadnego węzła, łączącego przeszłość poezji z jej przyszłością. To też dzieje piśmiennictwa przeszły nad nią z milczeniem, i dopiero w ostatnich czasach przypomniano sobie poważną postać poetki.

Kreśląc dalsze losy twórczości poetycznej kobiet, która na cały czas Epoki Stanisławowskiej zamilkła, musimy potrącić lekko o powieści sentymentalne, które wyszły spod białych dłoni arystokratek, jak hr. Czartoryskiej, księżny Wirtemberskiej i Elżbiety z hr. Krasieńskich Jaraczewskiej. Do szeregu tych autorek zaliczyć też trzeba Klementynę z Tańskich Hofmanową. Dzieje twórczości od przedmiotu mojej pogadanki właściwie nie należą; skreślę je jednak w kilku słowach dlatego, iż odbija się w nich pewna cząstka poetycznej duszy niewieściej, i że przez nie przeszedł duch kobiety na drogę wyższego udoskonalenia. Powieści te tworzyły na początku bieżącego stulecia pewien ruch umysłowy, mający tę charakterystyczną cechę, on że był zupełnie prawie niezależnym od prądu romantyzmu, który zreformował poezję naszą. Ta burza uczuć, która wstrząsnęła duchem wielkiej poezji w Epokę Mickiewiczowskiej, przeszła zrazu spokojnie ponad umysłami i sercami wykształconych i utalentowanych kobiet naszych, mało zrozumiana i odczuta. Może to dlatego, że dawniejsza epoka przemawiała do duszy kobiety uczuciem sentymentalnym i sielankowym, tak podatnym do jej natury wewnętrznej; może dlatego, że ta natura, cicha, serdeczna i czuła, nie miała jeszcze siły, aby wznieść się na wyżyny, gdzie gromy bily, gdzie błyskawice fantazyi dalekie oświecały widnokregi. Faktem jest, iż silniej przemówiła do serc i umysłów niewieścich, „Nowa Heloiza“ Rousseau'a, niż namiętne, pełgoryczy, pesymizmu i w ogóle pełne pierwiastków wzburzających ducha, pieśni Byrona. Nad jasną tęczą sielankowości unoszą się tylko gdzieś tam pośpępane, tajemnicze chmury Osyanizmu, a fantazyja kobieca znajduje upodobanie w ich tajemniczości, gdy serce jednocześnie we łzach uczuć sentymentalnych się rozplywa. Niezwykłość przygód interesuje żywy umysł niewieści, a rycerskość i galanterya zaspakajają wykwiłtne upodobania kobiet sfery wyższej.

Niezależnie od tych cech specjalnych twórczości pierwszych powieściopisarek naszych wyrzyła w życiu umysłowym bruzdy niezatarte i podnio-

śla wysoko chorągiew reformatorstwa. To, co Družbacka w początkach XVIII-go stulecia dla poezji, to księżna Wirtemberska o sto lat później dla powieści zrobiła, więcej jeszcze, bo tamta dała tylko odrodzenie poezji, a ta jest właściwie twórczynią powieści naszej. Przed ukazaniem się „Malwiny“ ten rodzaj wytwórczości literackiej był u nas prawie nieznanym, bo chyba trudno zaliczyć do niego wierszowane fantazyowanie lub rozprawy polityczne w formie romansów. Karmiliśmy się więc płodami obcymi, a księżna Wirtemberska dała nam pierwszą powieść swojską.

Biała dłoń arystokratki nie umiała dotknąć się prochów życia prawdziwego; świat, który stworzyła, dalekim jest od rzeczywistości, a szczególnie od tej rzeczywistości, która nas najbliższej mogła obchodzić. Zaledwie gdzieś przesuwały się przed oczyma naszymi obrazy życia sfer górujących, życia salonów arystokratycznych, a zdaleka, bardzo zdaleka, niziny życia. „Malwina“ jednak miała dla piśmiennictwa znaczenie niepoślednie ze względów, które już wyżej wymieniliśmy, a wśród ogółu inteligencji kobiecej obudziła żywsze tętno ruchu umysłowego.

Wystąpiły też niebawem z utworami powieściowymi Klementyną z Tańskich Hofmanową i Elżbietą Jaraczewską. Hofmanowa, której zasługa polega głównie na ujęciu w pewne normy systematu wykształcenia kobiecego, w swych powieściach moralno-obyczajowych przeprowadza tesa-me, co i w pracach swych dydaktycznych, idee. Od niej bierze początek epoka w wychowaniu kobiet, którą Chmielowski trafnie nazywa konwencyonalno-klassyczną, i której ślady dotąd nie zupełnie zatarły się jeszcze w życiu i wychowaniu kobiet naszych. Powołanie niewiasty do nauki dla ozdobienia jej umysłu i serca takimi przymiotami, któreby uczyniły z niej dobrą matkę i żonę—oto główne cechy tego konwencyonalizmu. Szlachetny cel miała przed sobą Hofmanowa i wiele podniosłych, a nawet niepowszednich, myśli rzuciła, ale nadawała rozwojowi duchowości kobiecej kierunek zbyt jednostronny. Już Jaraczewska przemawiała o większą samodzielność dla płci swojej, o naukę gruntowniejszą, którąby była dla kobiet, nie ozdoba, nie świecidełkiem ducha, ale żywotną jego treścią. Cicho jeszcze, ale już powoli... powoli—odzywać się zaczyna głos niewieści, który później w jaśniejszych słowach zażąda prawa do wszechstronnego, samodzielnego rozwoju ducha w nauce i sztuce. Niedługo w żądanie to i w pracę, dla jego spełnienia, wlać miała kobieta całą siłę swych uniesień, swego entuzjazmu. I w entuzjazmie tym poczuła większą w sobie moc, zaczęła zrywać w sobie pęta dziecięcej bierności, zapoznała się bliżej z życiem rzeczywistym, nauczyła się głębiej nad sobą zastanawiać, zwróciła się do wiedzy, wiedzy prawdziwej, nie takiej, jaką dotychczas ją zdobić chciało.

Umysł jej spoteźniał, a serce, wyzwolone ze sztucznych więzów czułościowości, silniejszym i samodzielniejszym uczuciem uderzyło. Zwolna, z początku nieśmiało, a z czasem coraz śmieiej, wznosiła niewiasta nad czoło swe zamię godności ducha ludzkiego, aż wreszcie ujrzała to znamię młodsze jej siostry, aż ujrzała je i ród mężki. I z tej ostatniej strony odezwał się krzyk oburzenia i zawiści, a tego krzyku nie mogła zagłuszyć obrona szczupłej garstki tych umysłów mężkich, od których pomoc nadchodziła.

Romantyzm, który, jak już pierwej powiedziałem, przeszedł z początku niespostrzeżenie prawie nad twórczością kobiet naszych, z czasem przemówił do serc ich i wyobraźni głosem silniejszym. Nadto, gdy nasza inteligencyja niewieścia zapoznała się z romantyzmem francuzkim, a szczególnie z utworami pani George Sand, znalazła tam silne zaakcentowanie dążeń swoich.

Tym spo sobem romantyzm oddział, w duchu odrzucenia form konwencyonalnych życia, jako wyraz większej szczerości duchowej i samodzielności, a zarazem zbudził w sercu kobiety entuzjazm, zapał do pracy i do szerszych lotów w dziedzinie ducha. Świat ideałów Klementyny Tańskiej, który wskazywał kobiecie, jako jedyną podporę życia, silne ramię mężkie, i pragnął ją tylko uszlachetnić, aby to ramię czarownem kwieciem

z ducha swego zdobić umiała,—świat ten, zwolna, bez wstrząśnień i walki, drogą ewolucyi, chylił się zaczął ku epoce nowej, epoce, która miała stworzyć dla kobiety świat jej własny, udoskonalić jej istotę człowieczą dla niej samej.

Przyszedł niezadługo czas, a było to w drugiej ćwierci naszego stulecia, gdy kobieta, obejrząwszy się naokoło, ujrzała taką pustkę ducha w świecie mężkim, że rozbudzone jej życie umysłowe nie mogło znaleźć w tym świecie żadnego oparcia. Naówczas instynkt samozachowania moralnego nakazał jej stworzyć sobie świat własny, spróbować samodzielnych lotów myśli, fantazyi i uczucia. Wytworzyło się więc pewne ognisko życia umysłowego kobiet i znalazło swój wyraz w kilkoletnim wydawnictwie noworocznika pod tytułem: „Pierwiosnek.“ Prócz Pauliny Krakowskiej, Eleonory Ziemięckiej, pierwszej filozofki polskiej, prócz natchnionej poetki, Gabryeli, prócz zresztą Ludwiki J., która wygłosiła już naówczas program, jaki entuzjastki później przyjęły, program, wskazujący jako ideały życia: głębię uczuć serca kobiecego i samodzielność czynu; prócz kilku zresztą dosadnych głosów, kreślących zarys ważnych reform społecznych,—wszystko inne, co w „Pierwiosnku“, się ukazało, grzeszyło jeszcze słabością i miało znaczenie efemeryczne. Gabryela po pierwszym, słabym jeszcze, utworze, pomieściła w tem wydawnictwie wiersz p. t. „Szczęście poetki“, w którym rozbrzmiewa już całą pierśią program entuzjastek.

Niesłusznie na te słabe jeszcze, ale szlachetne i świeżym duchem owiane usiłowania twórczości niewieściej rzuciły się z wielką zajadłością niektóre krytyczne pióra mężkie, ganiąc, nietylko nieudolność, ale nawet zaprzeczając kobiecie w zasadzie prawa do samoistnej pracy twórczej. Odezwały się też w obronie potępionych i głosy szlachetniejsze, a niebawem przy ognisku redakcyjnym „Przeglądu naukowego“, w skromnym domku Skimborowiczów, zgromadziło się małe gronko entuzjastów i entuzjastek: otoczyło miłością serce największej entuzjastki—poetki, Gabryeli, które ona w tak cudownie poetycznych, posagowych postaciach odtworzyła we „Wstępny obrazku“, a później spokojniejszem już okiem objęła w „Słowie przedwstępnem do dzieła dydaktycznych pani Hofmanowej.“ Kto zechce przypatrzeć się bliżej tym postaciom, z których niejedna ważne stanowisko w dziejach piśmiennictwa naszego zajmuje, ten ma już dziś dosyć do tego materiału, nietylko w pracach Gabryeli, ale i w notatkach osób, które się im bliżej przypatrywały, mianowicie w pracach Skimborowicza i Jenikego, a szczególnie w pięknym, wyczerpującym studium prof. Piotra Chmielowskiego. Dla tego też i dla braku czasu poprzestać muszę na kilku dorywczych uwagach, niezbędnych dla rzucenia jaśniejszego światła na twórczość Gabryeli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

„Na Santa Lucia.“ — 400-ne przedstawienie „Halki“. — „Piosnki tyrolskie.“ — Księżna Marcellina Czartoryska.

Spóźniłem się ze sprawozdaniem o nowo—wystawionej operze: „Na Santa Lucia“. Czy wiele na tem czytelnicy stracili? Nie sądzę. Rzecz to nie sprawiająca wrażenia, a jakkolwiek autor: *Pierantonio Tascia*, zalicza się do młodej generacji (ma lat 30) i do grupy czy szkoły *Werystów*, nie masz w nim właśnie cech, ten przydomek usprawiedliwiających. *Werysta* niezawodnie jest *Mascagni*, który w „Cavallerii“ gra na nerwach słuchaczy jak fortepianista na klawiszach; *Werysta* jest *Leoncavallo*, w którym znać akcent *prawdy*, pomimo wiedzy i opracowania w wielu scenach jaśniejący. W *Puccini*'m (*Willidy*, *Manon*) mamy również sceny piękne, ale *Tascia* nie ma ani tej

Lwów, w Maju.

sily, aby nerwami wstrząsać, ani tej wiedzy, aby przy scenach dramatycznych okazać się nowym i pełnym treści. Jestto młody człowiek niezawodnie obdarzony talentem czy zdolnością, przejawiającą się w dobrej instrumentacji, ale ani tematycznej wynalazczości, ani wielkiego daru opracowania, ani nareszcie właściwego użycia efektów w nim nie dostrzegamy. Przeciętny słuchacz, lubiący nucić po przedstawieniu zasłyszane melodie, może sobie z przyjemnością przypomnieć małą Serenadę, którą śpiewa Cicillo (p. Wołoszko), lub bardzo udatny początek drugiego aktu, z solem, również tenorowem, rybaka (p. Machan), ale w chwilach dramatycznych, przy wylewie silniejszych uczuć, zabraknie mu właśnie tej pociągającej go melodyjności, i nie z nich nie utkwi w jego pamięci. Dziwnie — bo też jałowy jest text nowelli, opracowanej według dramatu Godfryda Cognetti. Akcja na scenie jest słabą a nadewszystko psychologicznie — nie dość umotywowaną. Widocznie, laury „Cavallerii“ autorom spać nie dawały, i chcieli przedstawić ten sam motyw w innym oświetleniu. I tu i tam męczyzna stoi pomiędzy dwiema kobietami, i tu i tam z jedną z nich obchodzi się brutalnie, ale przyczyny, dla której tak postępuje, nie jesteśmy w stanie sformułować sobie tak jasno. Jeżeli Cicillo dawniej kochał Rosellę (pani Konarska), dlaczegoż teraz ma się żenić z Maryą (pani Dąbrowska)? Jeżeli zaś po ujrzeniu napowrót Roselli, przysięga jej miłość, dlaczego na rok cały wyjeżdża, pozostawiając rzeczy *in statu quo*? Powróciwszy zaś, nie bada sytuacji, tylko obrzuca Rosellę podejrzeniami, że ona się kocha w jego ojcu (Tottono, pan Chodakowski) i tem skłania ją do samobójstwa. Dla akcyj dramatycznej najgorszą jest ta okoliczność, że się ona odbywa w dyalogach głównie, a więc dla słuchacza jest dość niewyraźną i mało interessującą, przyczem nieokreślony jest jasno, ani charakter Maryi, ani usprawiedliwione wprowadzenie do sztuki jeszcze jednej kobiecej postaci, mianowicie siostry Cicilla, Concettiny (panna Skulska). Najlepszem z całego tego „obrazu“ jest „słó“. Ożywiona scena handlu ostryg, morze, dolatujące z oddali głosy, sprawiają w swym układzie bardzo dobre wrażenie. Początki też obu aktów pod tym względem są obrazowe i pozostawiają miłe wspomnienie, oraz nadzieję, że młody kompozytor dojść może do lepszych rezultatów, ze względu zwłaszcza, iż słyszymy tutaj zaledwie trzeci z kolei jego operę, a pierwsze opery Weber radził topić, jak młode kocięta. Nowość tę wyuczył pod swoją batutą dyrektor Barcewicz, nie mogąc, oczywiście, być odpowiedzialnym za jej niepowodzenie. Nawet pani Konarska nie potrafiła wyróżnić się w roli Roselli — lubo opracowała ją ze zwykłą starannością. Dobry typ stworzył pan Chodakowski.

Czterechsetne przedstawienie „Halki“ odbyło się, oczywiście, z panią Konarską i, również oczywiście, spowodowało jej pełne zapamiętanie ze strony licznie zgromadzonych słuchaczy. Wszystkie pisma skutkiem tej jubileuszowej liczby uderzyły w dzwony pogrzebowych wspomnień, a „Tygodnik Ilustrowany“ dał portrety prawie wszystkich przedstawicielek „Halki“ w ciągu lat 36. Pani Konarska zajmuje pomiędzy nimi wybitne miejsce, i — o ile dawno ubiegłe wrażenia z nowymi porównać się dadzą — najbardziej zbliża się, naszym zdaniem, do Pauliny Rivoli — mianowicie zbliża się szczerością i prostotą typu, pojętogo naturalnie i uczuciowo, i z tego powodu przemawiającego do serca. Przytem w opracowaniu szczegółów znać ciągle postęp lub szczęśliwą intuicją, głos się jeszcze wzmocnił, i stworzyła się całość, którą młodsza od nas generacja tak długo wspominać będzie, jak my wspominaliśmy Paulinę Rivoli. Jontkiem tym razem był p. Czernicki i wywiązał się bardzo dobrze z zadania, interessując nie tylko głosem, ale i dobrze i logicznie obmyślaną grą sceniczną.

Rzecz prosta, melodyjna, szczerą, trafi zawsze do serca publiczności. Tak się stało i z „Piosenkami tyrolskimi“, które przedstawiono po raz pierwszy w Teatrze Nowym w dniu 29 z. m. Autorami tej drobnostki muzycznej są: Koschat i Einödshofer, a zwłaszcza pierwszy, który od-

dawna zasłynął piosnkami wprawdzie oryginalnymi, ale tak wybornymi utrzymanymi w charakterze „jodłów“ tyrolskich, że je przez pewien czas miano za plagiaty. Piosnek tych, pełnych wdzięku i prostoty, użyto obecnie jako haftu do kanwy naiwnej sielanki, gdzie pasterka Nanni naprzd rozpacza nad mniemaną zdradą swego pasterza Seppi, następnie piosnką zdobywa zezwolenie ojca, i na tem sprawa się w ciągu jednego aktu kończy. Powodzenie „piosenek“ tłumaczy się i tem, że pasterką jest pani Czosnowska, śpiewaczka zasługująca na poważne uznanie. Posiadając dzwiczny sopran i wysoki (bo do D górnego i wyżej odważnie sięgający), wspiera ten piękny materiał dobrą metodą i inteligencją, a nadto wybora grą sceniczną, i pomimo postaci zbyt okazałej jest stałą ulubienicą publiczności, zbierając laury poważniejszej treści w trudnych rolach, jak: „Piękna Helena“, „Baron cygański“, „Zaklęty zamek“ i t. d. W „Piosenkach tyrolskich“ końcowy duet „o słowiku“, śpiewany wspólnie z p. Dylińskim, również wymaga mechanizmu (koloratury), i jest dobrem polem popisu dla utalentowanej śpiewaczki.

Z Krakowa zeszło-tygodniowe depeze zwiastowały wieść niesłychanie bolesną, o zgonie tamże dostojnej księżny Marcelliny Czartoryskiej, której imię ludzkość i sztuka na marmurowej tablicy złotymi głoskami zapisuje. Dusza jej wzniósła, a serce czule były źródłem tysiącznych dobrodziejstw, jakie dawniej, zwłaszcza w świetniejszych majątkowo czasach, naokoło rozsiewała; wybitne poczucie piękna i niezwykła zdolność muzyczna, przy kierunku tak znakomitego mistrza jak Fryderyk Chopin, uczyniły z niej fortepianistkę w wyższym stylu, dla szopenistów zwłaszcza nieocenioną. Należała księżna istotnie do szczupłego grona tych uczennic, które wzniosły się wysoko po nad przeciętny ogół, a przyswoiwszy sobie tajniki uderzenia i stylu, umiały wlewać niesłychany czar poezji w wykonywane utwory. Nieraz już w „Bluszczu“ miałem sposobność wspominać o charakterystyce wykonawstwa subtelnych tych arcydzieł, które dotąd jeszcze stanowią dla ogółu fortepianistów szkopol najtrudniejszy do pokonania. Tendencja świetności i blasku zewnętrznego, wprowadzona przez Liszta, prowadzi grę wirtuozów na inne tory, i coraz bardziej ich oddala od ideału, jaki im wskazał Chopin. Być może, iż w grze tak jego, jak i uczniów zanadto unikano uderzeń szorstkich, zanadto pieszczono się z frazesem muzycznym; ale to się działo tak naturalnie i z tak szczerą prostotą, że nie mogło być przesadą, a musiało być nazwane najwyższą poezją i uduchowieniem. Trzeba było — wedle zdania entuzjastów Chopin'a — specjalnie wykształconej ręki, aby żadną szorstkością trywialną nie zraziła ucha, przyzwyczajonego do dystygnowanej dyskrecji i wdzięku we wszystkim; dlatego też nie mogli oni prawie słuchać gry nawet znamienitych wykonawców, jeżeli tylko posiłkowałą się charakterystyką akcentów ostra i stanowczą, jakiej np. nieraz wymaga Beethoven. Tu Mozart był wzorem jedynym: pedał piano używał się często, i w tym czysto zewnętrznym warunku uderzenia tkwił już czar specjalny, który uczennice tak określały, że wołały jeden prosty akord wzięty przez Chopin'a, od koncertów granych przez innych. Że to uwielbienie dla tak wykwintnych form było usprawiedliwione, przyznać musi każdy, ktokolwiek słyszał którą z owych pań, jak panią Dubois O'meara, panią Kalergis-Muchanow, księżnę Marcellinę, grające drobniejsze zwłaszcza utwory naszego genialnego pieśniarza. Szczególniej Mazurki księżny Marcelliny są niezapomniane dla tych, co je słyszeli. Księżna liczyła już obecnie lat 77, jako urodzona w r. 1817; lecz podobno do ostatka nie rozstawała się z fortepianem, a całe życie był on dla niej towarzyszem nieodstępnym, któremu nie tylko powierzała swoje poetyczne myśli i uczucia, ale i stale, jak pilna artystka, grała etiudy, koncerty, fugi Bacha i utrzymywała technikę we wzorowym porządku. Dom jej był ogniskiem sztuki; niechże jej pamięć świeci wśród artystów po wszystkie czasy blaskiem, jaki daje prawdziwy talent i prawdziwa wielkość charakteru!

Jan Kleczyński

Straszna, w niezwykłych warunkach popełniona zbrodnia, zajmowała przez kilka tygodni umysły wszystkich mieszkańców miasta i jego okolic, gdzie się właśnie wydarzyła. We wsi Cykowie pod Przemyślem zamordował niejaki Zygmunt Hoszowski uderzeniem siekiery, a następnie pchnięciem sztyletu, księdza Ardana, proboszcza miejscowego, człowieka cieszącego się ogólną sympatią i najwyższym szacunkiem. Zbrodnia sprawiła o tyle większe wrażenie, że popełniona została przez człowieka inteligentnego, wychowanego starannie, a motorem jej nie była ani chciwość, ani nawet silniejsza jakaś namiętność. Zdaje się, że tym razem sąd miał do czynienia ze smutnym okazem przestępcy typowego, który, niewiadomo skutkiem jakich wpływów, czy też organicznych usterek, zatracił w sobie wszelkie popędy moralne.

Zygmunt Hoszowski, młodzieniec dwudziesto-dwuletni, syn byłego naczelnika sądu i właściciela wsi Cyków, skończył szkoły przed kilku laty, po czem uczęszczał przez czas jakiś na wydział prawny, a wreszcie wrócił na wieś, gdzie jako-by zamierzał oddać się gospodarstwu. Zamiast jednak pracy na roli, uprawiał z zamiłowaniem sport bałamucenia kobiet. Ksiądz Ardan strofował często młodzieńca za to niemoralne życie, a przestrogi kapłana stawały się pierwszym zarzewiem rodzącej się w sercu jego nienawiści; spotkawszy go raz w swojej kuchni, ks. Ardan zląkałby zamierzał oddać się gospodarstwu. Zamiast jednak pracy na roli, uprawiał z zamiłowaniem sport bałamucenia kobiet. Ksiądz Ardan strofował często młodzieńca za to niemoralne życie, a przestrogi kapłana stawały się pierwszym zarzewiem rodzącej się w sercu jego nienawiści; spotkawszy go raz w swojej kuchni, ks. Ardan zląkałby zamierzał oddać się gospodarstwu. Zamiast jednak pracy na roli, uprawiał z zamiłowaniem sport bałamucenia kobiet. Ksiądz Ardan strofował często młodzieńca za to niemoralne życie, a przestrogi kapłana stawały się pierwszym zarzewiem rodzącej się w sercu jego nienawiści; spotkawszy go raz w swojej kuchni, ks. Ardan zląkałby zamierzał oddać się gospodarstwu.

Znając zwyczaje proboszcza, wiedział, że ten po kolacyi spożytej lubił wyjść do dużego, pięknie utrzymanego ogrodu na cygaro. Pewnego dnia w Październiku, korzystając z szybko zapadającego zmroku, zakradł się Hoszowski do ogrodu, przebrany dla niepoznaki w suknie matki — snadź by niczego nie brakło w tym obrazie strasznego moralnego upadku — a gdy ksiądz przechodził mimo drzewa, za którym stał, zamierzył się siekierą i rozplatał mu całą czaszkę. Nie zważając, że raz ten był już śmiertelny, morderca dodał jeszcze pchnięcie sztyletem w plecy, poczem, powróciwszy do domu, zawołał do służącej: „No, dogodziłem księdzu“ — i kazał jej przysiąc, że go nie zdradzi. Dziewczyna milczała istotnie, dopóki sąd na mocy wielu poszlak nie uwięził zbrodniarza; wtedy dopiero opowiedziała wszystko, co wiedziała.

Rozprawa, prowadzona przez sąd przysięgłych w Przemyślu, trwała krótko, zeznania świadków brzmiały jednoznacznie i pod każdym względem dla obwinionego jak najniekorzystniej, a wobec obciążających go dowodów przestępca sam przyznał się do winy, kładąc tylko nacisk na stan rozdrażnienia, w jakim działał. Usiłował też próbować ucieczki, to znów udawał waryata, a wszystko to łącznie z jego zachowaniem się podczas rozprawy i ponurą, nieprzyjemną powierzchownością, budziło wśród audytoryum, nie tylko oburzenie, ale wstręt, pogardę dla istoty, w której sercu nie zabłąkała się ani jedna iskierka szlachetniejszych porywów. Po wysłuchaniu wyroku zbrodniarz zemdlął, bo też wyrok brzmiał strasznie w swym nieubłaganym lakonizmie: kara śmierci i 10.000 złr. odszkodowania dla wdowy po zamordowanym. Kto tu jest jednak najbardziej politowaną osobą, to rodzice tego wyrzutka, który niewiadomo jakim sposobem znalazł się w ucziwem gnieździe. Dość hańby: syna być zmuszonym przekląć i potępić własne dziecko — to ból nad bólami, którego nie doznawał chyba Prometeusz żywcem przez sępy szarpany.

Państwo Hoszowsce porzucili Galicyą nazawsze, polecając adwokatowi sprzedać Cykowa, arenę tego niezwykle krwawego dramatu.

Odwróćmy jednak oczy od tych ponurych obrazów; nie licują one wcale z cudowną, rozpromie-

nioną świeżością wiosny, która od lat 9 już chyba nie darzyła ludzi tak wczesną zielonością, tak przezroczystym błękitem, tak wesołymi uśmiechami słońca. Mało może które miasto posiada tyle ogrodów publicznych, i tyle prześlicznych, blizkich, choć zamiejskich spacerów, co Lwów. To też każdy dzień, zwłaszcza świąteczny, sprządza tłumy publiczności, żadnej świeżego technienia wiosny, do wszystkich miejsc bardziej uczęszczanych. Szczególniej uroczy park i wzgórze Stryjskie gości u siebie nieraz po kilkanaście tysięcy spacerowiczów, choć gmachy, pawilony i wodotryski tamże wznoszone, zaprowadzane, niezupełnie są jeszcze ukończone.

Ubiegłej Niedzieli odbył się na górze Zamkowej — festyn techników, urządzonej na rzecz Stowarzyszenia pomocy. Festyn powyższy, który ma za sobą świetną tradycją bardzo dobrej i urozmaiconej zabawy, powiódł się tym razem znakomicie, przynosząc 600 złotych reńs. czystego dochodu, a cały program, jak: ognie sztuczne, żywe obrazy, tombola, mógł być wykonany w przeciwieństwie z rokiem zeszłym, kiedy też sama, o sympatycznym celu, zabawa, kilkanaście razy musiała być odkładana z powodu ulewnych deszczów, które niebios — jakby na psotę urządzającym, — spuszczały, ile tylko razy festyn był zapowiedzianym.

Lecz nie tylko ze względu na piękno i przyjemność wiosna tegoroczna rozpromienia oczy i serca nasze; lany zbóż zielenią się równo, bujnie, pozwalając się spodziewać obfitych plonów. Po tylu latach klęski i nieurodzaju należałby się już Galicji rok pomyślniejszy, bo oto nadchodzące, z górskich zwłaszcza okolic, wieści przerażają swą grozą — ludzie poprostu mrą z głodu i tyfus na dobre rozpościera swe śmiertelne panowanie. Jakkolwiek Lwów leży w najurodzajniejszej niemal okolicy, jednak i tu rodzinom mniej, a nawet choćby średnio, zamożnym daje się dotkliwie odczuwać przednówek. Dzieje się to atoli, nie tyle skutkiem smutnych warunków ekonomicznych, ile raczej stanowi czynnik nieuczciwego wyzysku kupców i dostawców, którzy, tworząc formalne strejki, chcą zmusić mieszkańców do przepłacania najkonieczniejszych artykułów spożywczych, licząc przytem na większy niż kiedykolwiek zjazd tegoroczny. Kwestyą tę podniósł właśnie z wielką energią jeden z radnych miasta a zarazem bankier i obywatel tutejszy, p. Jonasz, opierający swe twierdzenie na bardzo ścisłych podstawach. Zebrał on bowiem jaknajstaranniej ceny produktów z ostatnich lat kilku i wykazał, że bez żadnej podstawy podskoczyły one do liczb wprost bajecznych, zrównywiających, a niekiedy przechodzących, ceny najpierwszych miast europejskich, gdzie znów stopa zarobków i wynagrodzeń mieszkańców nieskończenie jest wyższą.

Mleko, masło, a nadewszystko mięso, staną się niedługo, jeśli w ten sposób postępować będziemy, przedmiotami zbytku; interpellował przeto p. Jonasz prezydenta miasta i jego „ojców“ — by wejrzeni w tę palącą dla mieszkańców sprawę i obronili ich przed zdzierstwem.

Niewiadomo jednak — czy wiele można na tej interwencji budować, magistrat bowiem ma co innego na głowie niż regulowanie cen i pilnowanie targów miejskich. Oto jego duma i marzenie — tramwaj elektryczny wszedł w sferę rzeczywistości i w tych dniach po raz pierwszy puścił w ruch lśniące, eleganckie wagony. Głodny Lwowianin nie będzie chyba tak prozaicznym, by patrząc na ten najnowszy owoc postępów elektrotechniki myślał o pustym żołądku, zamiast rosnąć w pychę wobec faktu; że skromny Lwów, liczący 140.000 mieszkańców, posiada lokomotywy, jaką zaledwie parę miast w Europie poszczycić się może. Niemniej przyznać trzeba, że, biorąc tramwaj jako fakt — może zbyt kowny, ale dokonany, należy wyrazić całe uznanie dla precyzji, szybkości, elegancji, z jaką wiedeńska firma *Siemens i Halske* wykonała wszelkie potrzebne dla przeprowadzenia tej budowy roboty. Główna stacja, gdzie mieści się biuro centralne, remiza dla wagonów i główny motor elektryczności produkujący — wzniesione zostały u wylotu ulicy Kopernika w bliskości stawu Pełczyńskiego.

Z tamąd też przed dwoma dniami wypuszczono pierwsze próbne wagony, napelnione już publicz-

nością, złożoną z radnych miasta i dziennikarzy. Tłum kilkutyśięczny zapełniał ulicę, podziwiając ten niezwykły wehikul, przedstawiający się zewnętrznie niezmiernie wdzięcznie. Tramwaj sunie lekko, cicho; konduktor za pomocą linki kieruje niewidocznego rumaka, za który uważać należy chyba przyrząd umieszczony na wierzchu powozu. Jest to rodzaj wideł, zakończonych lukowato a muskających w biegu grube, metalowe druty rozpięte ponad ulicami na których przeprowadzone są szyny. Co prawda, miasto w ten sposób odrutowane niekorzystnie wygląda; w Brukselli, gdzie tramwaj podobny zaprowadzonym jest oddawna, cała maszynerya ukrywa się w kołach i szynach, co do estetyki miasta wiele się przyczynia; ale podobno system ten pociągają za sobą jeszcze wiele więcej kosztów, więc gwoli finansowej stronie, musimy się już zgodzić z odrutowaniem. Mając tak dobrą klatkę możemy w niej dać miejsce trojgu słowikom, których śpiew rozbrzmiewa obecnie w gmachu naszego teatru. Tę śpiewaczą napływową drużynę stanowią dwie młode debiutantki: p. Kruszelnicka i p. Strasserówna, a dalej p. Mateusz Szlafenberg, Lwowianin, obecnie pierwszy tenor bohaterski opery wrocławskiej.

Co znaczy dla artysty dobra szkoła, wsparta usilną, wytrwałą pracą, przekonać się możemy choćby na p. Szlafenbergu. Gdy przed kilku laty dawał się on słyszeć parokrotnie w salach koncertowych, olbrzymi jego materiał głosowy, płynąc z młodzieńczej pierśi falą nieokiełznaną — ogłuszał, przerażał niemal.

Dziś głos pozostał równie bogatym, niezmęczonym, czego dowodem jest choćby partya Radamego, na pierwszy występ wybrana, tak forsowna a zaśpiewana ze zdumiewającą swobodą; artysta nabrał już jednak szlachetniejszego brzmienia, miękkości, a choć frazowanie i dykcya pozostawiają jeszcze cokolwiek do życzenia, jest to niewątpliwie śpiewak o wielkiej przyszłości. To samo również zastosować-by można i do panny Salomei Kruszelnickiej, której stawiają dziś już najpiękniejsze horoskopy.

Studia młodej artystki nie są jeszcze ukończone; niemniej rok pobytu za granicą wywarł na jej sposób śpiewania wpływ widoczny, a ze wszelkich miar korzystny. Umiejętnie prowadzony sopran dramatyczny posiada dźwięk srebrzystego dzwonka, przytem niezwykłą giętkość i wytrzymałość. Panna Strasserówna jest także niezmiernie miłym i obiecującym zjawiskiem scenicznym: dość piękny jej mezzo-sopran, widocznie wskutek fałszywej metody cokolwiek tremolujący, nie posiada takiego już niemal fenomenalnego charakteru. Za to urodą i temperamentem mało kto potrafiłby p. Strasserównie dorównać: to też jej uroczą, zalotną Carmen zelektryzowała całe audytoryum. Niedawno w tejsamej partyi święciła tryumfy, zbierając obfite żniwo oklasków i kwiatów, panna Mira Heller — lwowska chluba.

A jednak, co dziwne — przyjęto uroczą artystkę chłodniej i krytyczniej, niżby się tego spodziewać można po publiczności, hołdującej zazwyczaj bez zastrzeżeń wszystkiemu, na czem za granicą swą pieczęć uznania przyłożyła. Nadużywanie prześlicznego, lecz o niższym rejestrze, głosu w partyach dostępnych tylko zdecydowanym sopranom, nie podobało się ogólnie, a krytyka w sposób poważny i życzliwy, lecz stanowczy, dała wyraz swoim poglądom.

Przypomniałszy sobie długi szereg śpiewaków i śpiewaczek, częstokroć znakomitych i pierwszorzędných, jakie z różnych zakątków Galicji — zwłaszcza wschodniej — wyfruwają w świat szeroki, roznosząc tam naszą sławę — no, i expatrując się potrosze, niepodobna nie zastanowić się: jakie jednak są przyczyny oddziaływające tak szczęśliwie na ustrój krtani u tylu jednostek i na rozbudzenie tej iskry Bożej, która się zwie talentem? Genezy tego wyjątkowego bogactwa talentów dojść zapewne trudno, niemniej skonstatować je musi każdy, kto śledzi cokolwiek baczniej rozwój naszej sztuki wokalnej.

Kwestya, którą omawiamy, przypomina nam kilka obrazków znajdujących się na naszej skromnej wystawie sztuki. Większość młodych ma-

larzy uprawia z zamiłowaniem temata ludowe, zrozumiawszy, że nie może dać takich skar-bów natchnienia, jak przyroda w swej nieczem niezamąconej krasie, i postacie na jej tle wyrosłe. Nie wspominam już o prześlicznych obrazkach Jul. Zubera, który śmiało a nadobne góralki i dzielnych huculów oddaje z przedziwną prawdą i życiem; znajdują się one w naszym — salonie — od dłuższego już czasu, zawsze pieszcząc i porywając oko. Z nowych płócien o podobnych motywach widzimy ładny, świetny w kolorycie krajobraz górski pędzla Miecz. Rayznera. Na tle skalistej ścieżki spadającej ku źródłu bieży z dzbankiem po wodę góralska dziewczyna; poza jej wdzięczną, pełną zalotności i uroku, lecz cokolwiek może zbyt wystudowaną, niejako teatralną. Zarzutu tego nie można uczynić atoli p. Jasińskiemu, który w swoje dwa maleńkie obrazki: „Kaśkę“ i „Maryskę“ włą, nie tylko już naturalizm, ale modniejszy dziś nadto weryzm. To nie poetyczne gór mieszkanki te dziewczuchy krępe, dobrze zbudowane, o nogach jak u słonia, niezgrabne, niepowabne, a przytem wszystkiemu pociągające urokiem zdrowia, młodości, patrzącej im z oczu serdecznej dobroci i gołębiej prostoty.

Innej zupełnie natury temata opracowuje p. Littrow: mieniąca się nieustannym ruchem i zmiennymi barwami powierzchnia oceanu, a także jego wybrzeża i mieszkańcy dostarczają mu niewyczerpanych motywów. „Łodzie rybackie“ kołyszą się na falach, ruchem, który dobrze oddaje ich wzburzenie, trochę tylko może za dużo matowo-białego tonu na wodzie i obłokach. „W Widokach morskich“ widzimy dwa razy tę samą rybaczkę, cokolwiek wadliwą w rysunku; zapomina się atoli o tem łatwo wobec subtelności wdzięku i drobiazgowego wykończenia tych uroczych sylwetek kobiecych.

Z dziedziny portretów dwa się wyróżniają rozmiarami i artystycznym wykończeniem. Augustynowicza wielki portret zgasłego mistrza Matejki jest chyba jednym z najlepszych, z jakimi się spotykamy. Kto choć raz widział tę szanowną, uduchowioną postać, zdoła ocenić wyborne od-tworzenie wyrazu twarzy i ruchu naprzód pochylonej figury. P. Kaczor-Batowski dał nam w portrecie księżny Lubomirskiej wizerunek wielkiej damy, pięknej, o szlachetnym obliczu, kobiety.

Na krajobrazach — same zżęte, puste pola i suche, rozezochrane wierzby — to już *parti pris* dzisiejszych pejzażystów: zgodziwszy się więc na nie, musimy wymienić z rzeczy nowych wielki krajobraz Ludwika Stasiaka i cokolwiek zbyt wymuskany widoczek wiejski Harasimowicza. Pomocozemu obszedł się zarząd wystawy z wielkim obrazem rodzajowym Ludwika Stasiaka, wieszając go na takiej wysokości, a w dodatku zupełnie w cieniu, że tylko przypadkiem dojrzeć go można. Szkoda to wielka, gdyż utwór ten, pomimo kilku błędów rysunku, zasługuje na bliższą uwagę głębiej pomyślanym tematem i doskonałym ugrupowaniem figur.

Scena jakgdyby wyjęta z sensacyjnej powieści lub dramatu. Idącym już do ołtarza państwu młodym zastępuje drogę młoda kobieta (najpiękniejsza to postać z całego obrazu) z dzieciątkiem na ręku. Wybornie uchwycił malarz rozmaite wrażenia, jakie ten niepożądany epizod wywołuje na twarzach towarzyszącego orszaku gości. Jest tam cała gamma podziwu, litości, oburzenia, nie wylądzają i złośliwego uśmiechu. Panna młoda przerażona — upuszcza bukiet, po który schyla się drużba i ten to ruch jej, nieestetycznie, bezwładnie wyciągniętej ręki, która brutalną, prostopadłą linią przecina cały obraz na dwie połowy, psuje fatalnie jego wrażenie.

Co znaczy dla malowidła odpowiednie ustawienie i oświetlenie, dowodzi najlepiej przepyszny obraz Medowiza „Święto Bachusa“, który niedawno w Warszawie tak potężnie robił wrażenie. Ta wspaniała w swym barbarzyńskim okrucieństwie i klasycznym bezwstydzie scena wypadła rozpaczliwie blade, nędznie w pokoju zbyt małym, by można zachować konieczną perspektywę, przy świetle zupełnie fałszywie i adającym, bez potrzebnych a podnoszących ją akcesoryów.

Na zakończenie należy jeszcze wspomnieć o wystawie wschodniej, jaką przez kilka tygodni oglądać mogliśmy w jednej z sal Szkoły Przemysłowej. Zbiory nie imponowały ogromem ani ilością, gdyż stanowią własność dwóch tylko prywatnych osób; niemniej jednak godną podziwu była kolekcya przeszlicznych haftów serbskich, tureckich i bośniackich na przezroczyście cienkich tkaninach, dzianych złotem i jedwabiami o przyćmionych przeróżnie barwach. Snadź dużo, wiele, za wiele czasu mają kobiety Wschodu, gdy mogą tyle go poświęcać na tę mrówczą pracę, w którą nadto kładą całe zasoby inteligencyi, fantazyi, artystycznych porywów, na jakie stać ich natury, w gnuśnem życiu zmartwiało.

Choć hafty ich są to rzeczy cenne i przeszliczne, z radością i pociechą w duszy powtarzaliśmy za poetą: „U nas inaczej, inaczej, inaczej!”

W. N.

Z WYSTAW MALARSKICH.

(Dokończenie).

Serca zawodowych i niezawodowych „koniarzy“ zadrzą rozkosznie na widok dwóch „Stadnin“, znajdujących się w tej chwili na wystawie Towarzystwa Zachęty. Obie wyszły z pod pędzla artystów posiadających w tym kierunku sławę ustaloną. Jedną wymalował Kossak, drugą Chelmoński.

„Stadnina“ Kossaka jest, naturalnie, akwarellą. Mistrz i nestor akwarelistów polskich w pracy tej, opatrzonej datą najświeższą, dowiódł, że umiejętność rysunku i talent kompozycyjny zachował dotąd bez szwanku. Konie są bez wyjątku doskonale i, choć może zanadto jedno do drugich podobne, celują ruchami pełnymi prawdy i życia. Mniej natomiast zaspakaja część kolorystyczna obrazu. Znać tu już powolne przygasanie dawnego blasku. Akwarella wygląda jak spłowiła, a nadmiar brudno-żółtej barwy czyni ją w tonie ogólnym nieprzyjemną. Ale wpatrznie się w treść kompozycyi i uważny przegląd szczegółów (grupa bosonogich pastuszków przy ognisku, fura ze świeżem sianem, do którego źrebęta łakomie wyciągają pyski, bocian leący tak nisko, jakby miał zamiar przysiąść pomiędzy paszącymi się końmi) godzą z nią widza w zupełności.

Inaczej wygląda „Stadnina“ Chelmońskiego, który, biorąc *pars pro toto*, uosobił ją w dwóch źrebcach, hasających raźnie na pierwszym planie obrazu. Ruchy tych źrebców nie są zbyt piękne, a kabłąkowane wygięcie karku jednego z nich wydaje się wprost nienaturalnem; musimy wszakże, na wiarę artysty, przyjąć jedno i drugie za dokumenta, uprawomocnione przez przyrodę. Na obrazie tym zresztą niema nic dla zabawy oczu—żadnych zgoła zgrabnostek, efektów kolorystycznych, błyskotliwości, i t. p. Skoki dwóch ogierków odbywają się na bardzo zwyczajnej łące, skąpo zarosłej krótką, wydeptaną już kopytami trawą. W głębi reszta stada prawie szkiecowo tylko naznaczona.

Pouczającym może być porównanie tych dwóch obrazów o jednakowym motywie, wykonanych przez artystów, wyobrażających dwa różne pokolenia i dwa różne kierunki malarskie.

„Stadnina“ Kossaka jest kompozycją w pełnem słowa tego znaczeniu. Artysta skomponował swój utwór na wzór jakiejś literackiej sielanki, pod którą podpisać-by się mogli: Szymonowicz, Lenartowicz — może i Pol także. Na całość składa się tu mnóstwo umiejętnie zgrupowanych szczegółów: piękna łąka, bocian leący na

źer, chłopcy przy ognisku, świeże siano na furze, a wreszcie konie różnego wieku i temperamentu, zespolone jakby w jedną, wspólnie rządzoną, gminę.

Odrzuć się czuje, że w tem wszystkim jest dużo umyślności — posługującej się jednak wyłącznie rysami *prawdopodobnemi*.

Inaczej u Chelmońskiego. W jego utworze jest tylko *prawda*. Harce dwóch źrebców wyglądają na obrazie tak właśnie, jak musiały wyglądać w naturze, gdy ją artysta na gorącym uczynku podchwytował. Ruchy koni mało posiadają wdzięku, w pospolitem i umówionem znaczeniu tego słowa. Kossak uczyniłby je był z pewnością lżejszemi i zgrabniejszymi — wprowadzając do całego obrazu żywioł sielankowy lub bohaterski.

Takie są zasadnicze różnice obrazów, wpływające z odmiennych indywidualności artystów. O wyższości jednego nad drugim mowy być nie może. Każdy wyobraża inny kierunek i każdy jest w kierunku swoim — doskonały.

P. Wyczółkowski, pierwszy z artystów, którzy na naszym gruncie zaszczerpili z powodzeniem *plein-air* francuzki, wystawił u Krywulka kompozycję wielce oryginalną pod tyt. „Druid skamieniały“.

Nie wiem, z kąd artysta poczerpnął motyw do swego obrazu, ani też jak daleko sięga myśl, którą chciał w nim zamknąć; w każdym jednak razie, czy „Druid“ jest malarską ilustracją jakiejś pięknej legendy, czy też symbolizuje kamieniejącą wśród dzisiejszych społeczeństw poezją, rzecz tę uznać trzeba za niepowszednią.

Trudność największą przedstawiało tu wynalezienie dla lotnej fantazyi kształtów plastycznych. W przyrodzie skamieniałych druidów niema: artysta więc, nie mogąc posługiwać się żadnymi modelami, musiał wszystko stwarzać, tak wszakże, aby druid był prawdziwym druidem, a skała — prawdziwą skałą, jednocześnie zaś, aby druid czynił wrażenie skały, a skała — druida.

Cel, o ile to możliwe, został osiągnięty. Na obrazie widzi się w pierwszej chwili gromadę omszałych głazów, wyglądających na fragment górskiej przyrody, później dopiero wyosobnia się z niej rysy, przypominające to głowę ludzką, to rękę — w końcu cała postać pieśniarza ze strząskaną lutnią i odtraconem ramieniem staje wyraźnie przed oczyma.

Modne od pewnego czasu posługiwanie się kolorami czystymi oraz zabarwianie cieni (nazywane, niewiadomo dlaczego „impressyonizmem“) czyni obraz p. Wyczółkowskiego jasnym i wesołym. Pogody tej jest w nim jednak zawiele. Z tematem poważnym i smutnym lepiej-by się zgadzał przyćmiony ton zmierzchu lub też rembrandtowskie oświetlenie księżycą.

Mówiąc o księżycu, wspomnieć trzeba o „Idylli“ p. Stefana Popowskiego, który fantasmagoryą nocny księżycowej bardzo szczęśliwie na płótnie tem odtworzył. Obraz przedstawia wiejską chatę, skapaną w zielonawym blasku księżycy, a przed nią dwoje zakochanych: parobka grającego na skrzypcach i zasłuchaną w tą grę dziewczuchę. Rozpływające się, ale dość jeszcze wyraźne sylwety ludzi i rzeczy są tam ładną prawdziwą — z wyjątkiem bielonej ściany w głębi, od której prostokąt oświetlonego okna odrywa się i unosi się zdaje w powietrzu.

Gdyby p. Masłowski nazwał był ostatni swój obraz również „Idyllą“, stawiano-by mu wymagania skromne, on jednak dał mu tytuł: „Mickiewicz i Marylla“. Tytuł taki obowiązuje. Wieszcz i idealna jego kochanka, otoczeni aureolą wielkiej poezyi, przez pierwszą lepszą parę kochanków wyobrażani być nie mogą...

Obraz p. M. jest dziełem impressyonizmu *à outrance*. Barwy w nim już nie czyste są, ale jaskrawe, a żółć, czerwień i zieleń surową spr-

wiają tam wrzawę... janczarskiej muzyki. I myli się artysta, sądząc, że to jaskrawością oddał świetność letniego zachodu słońca: w papuziej pstroczynie jego kolorytu niema wcale świetności. Barwy na obrazie nie zlewają się ze sobą, jak to bywa zawsze w przyrodzie, i ztąd, zamiast wrażenia pełnego akordu, sprawiają efekt kilku oddzielnych, kłócących się wzajem a krzykliwych tonów.

Jedynie krój odzieży siedzących na ławce ogrodowej kochanków przypomina epokę pierwszej młodości Mickiewicza. Sztywna postać młodzieńca daleka jest od naszego pojęcia o namiętym i burzliwym poecie, a i zafrasowana dziewczyna mało podobna do romantycznej i romantyzującej Wereszczakówny.

Trzykrotnie w ciągu ostatnich tygodni pojawiały się na naszych wystawach malarskich obrazy, krepą żalobną osłonięte. Krepą ta oznaczała, że twórcy obrazów wykreśleni właśnie zostali z liczby żyjących. A traf bolesny sprawił, że żaden z tych zgonów nie był naturalnem zagaśnięciem wypalonej już lampy życia: w każdym, w stopniu mniejszym lub większym, tkwił tragizm życia. — Jednego z artystów, w najpiękniejszym rozkwicie młodości, zabrały suchoty, drugi, zaledwie doszedłszy lat męskich, padł ofiarą nagłego obłądzenia, trzeci, po długoletnich cierpieniach, zmarł w całkowitem ośpieniu ciała i duszy.

Ostatnim z wymienionych a pierwszym na liście nieboszczyków, był ś. p. Henryk Pillati. Dla sztuki przestał on istnieć nierownie wcześniej, bo już od lat kilkunastu nie tworzył. Kiedy przed pięcioma laty t. zw. „Salon artystyczny“ urządził zbiorową wystawę jego prac, czyniła ona wrażenie rzeczy wczorajszej, ciekawszej dla historyka sztuki, niż dla widza dzisiejszego.

Pillati w chwili śmierci liczył lat sześćdziesiąt kilka, był więc prawie rówieśnikiem Gersona i Kostrzewskiego. To grono artystyczne w historii sztuki polskiej zajęło miejsce honorowe. Od niego datuje się wyraźny zwrot do swojskości i potoczności, dawniej lekceważonych.

Na nieszczęście dla Pillatiego i dla wielu współczesnych mu (wszechstronnie wykształconego Gersona z liczby ich wyłączałam), kult życia i żywej przyrody wyrodił wówczas niechęć do studyów specjalnych, do szkoły i do pracy. Na pierwszym miejscu postawiono natchnienie, ufając, że zeń, drogą cudu, wszystko pozostałe wypłynie. Nieuniknionem następstwem tej wiary było zupełne zmarnienie talentów średnich, a niedokształcenie się i częściowe sparalizowanie talentów wielkich — do rzędu których twórca „Szynku na Starem Mieście“ niewątpliwie należał.

Dwa były ulubione Henrykowi Pillatiemu temata: potyczki armii polskiej ze Szwedami oraz życie zaułków warszawskich.

Do najlepszych dzieł w pierwszym kierunku stworzonych należą: „Przyjazd na kwatere“, „Ucieczka“, oraz liczne epizody bitew z epoki najdziej Szwedów na Polskę. Pokrewne im są rodzajajem, choć różne epoką: „Powrót Lisowczyków z podjazdu“, „Berek pod Kockiem“, i t. d.

Wspomniany „Szynk“, z Teniersowem zacięciem wykonany, wyobraża najdoskonalej kierunku drugi, górujący z wielu względów nad pierwszym. Tu należą też sceny rodzajowe: „Wnętrze piwiarni“, „Targ na konie“, „Bryka furmańska“, „Cyganie“ oraz humorystyczny „Karuzel“, gdzie, w przebraniu rycerzy średniowiecznych, potykają się na ostrze: współcześni artyści malarze i literaci.

Przez długie lata olówek Pillatiego zarysowywał obficie karty naszych pism obrazkowych; jako ilustrator wszakże nie zajął Pillati stanowiska wysokiego.

Drugim z zapisanych na żalobnej liście był ś. p. Stanisław Wolski. Jako dzieci epoki ostatniej,

niewiele miał on w sobie pokrewnego Pillatiemu i jego rówieśnikom, na wielu punktach był nawet zupełnym ich przeciwstawieniem. Podczas gdy tamci ginęli przez lekceważenie studyów i poniewierkę pracy, jemu do fatalnej słabości i przedwczesnej śmierci przy czynił się nadmiar jednego i drugiego.

O Pillatim w czasie ostatnim poczynano już u nas zapominać; Wolski natomiast cieszył się szeroką popularnością. Uprawiał on rodzaj najlepiej „naszemu bratu“ przypadający do smaku. Z pod pędzla jego wychodziły niemal wyłącznie sceny myśliwskie i wojenne.

Talent Wolskiego był nieco ociężały, brakło mu lotności, fantazyi i niespodzianych rzutów wzgardzonego przez ostatnie czasy natchnienia. Ale zalecały go dwa niepowszednie przymioty: prawda i jędrność.

Zmarły artysta z największem upodobaniem malował sceny na otwartem powietrzu oraz przyrodę swobodną, iskrzącą się blaskami śnieżnej zimy, lub też wybujała i rozkwitła w gorących promieniach lata. Ludzie na jego obrazach są bez wyjątku zdrowi, krzepcy, z szerokimi piersiami i twarzą rumianą. Mężczyźni albo polują albo ujeżdżają konie; kobiety z wyrazem zdrowia i szczerej wesołości na obliczu jeżdżą również konno, grają w *lawn-tennis* lub należą do majówek, pikników, i t. p.

I taki właśnie wyobraziciel tężyny, sam z pozorów zdrowy, silny i długowieczność rokujący, przez bolesną ironią życia padł ofiarą nagłego rozstroju władz fizycznych i duchowych. Uderza podobieństwo jego losu z losem Gwidona de Maupassant.

Kończy żałobną trójcę ś. p. Henryk de Laveaux, młodzieniec dwudziestokilkoletni, który ledwie zdołał zaznaczyć, że ma talent i powiedziec światu „jestem!“, gdy mu śmierć na wieki zamilknąć kazala.

Szczupła jest paucizna młodego artysty, a tem boleśniejsza, że zapowiadała talent niepospolity. Fatalność, która niegdys w rozkwicie lat i działalności zmogła Grotgera i Maksa Gierymskiego, okazała się dla Henryka de Laveaux okrutniejszą, nie dając mu czasu na stworzenie ani jednego dzieła, któreby w sztuce pozostało. A jednak po „Praczkach“ i „Drodze do miasteczka“ można było spodziewać się dzieł pięknych i trwałych.

Wiktor Gomulicki.

Z bieżącej chwili.

— Według tego, co donoszą pisma petersburskie, ministerjum skarbu ma wkrótce wydać przepisy przeciw grze giełdowej. Obowiązkiem bankierów będzie udzielanie ścisłych informacji co do ilości walorów puszczonej przez nich na giełdę, oraz wykazanie, gdzie się te walory znajdują.

— Kommissya zajmująca się w Petersburgu rewizją opodatkowania procederów postanowiła uwolnić od podatku, pomiędzy innemi, widowiska ludowe, oraz wszelkie przedstawienia i wystawy na cel dobroczynny.

— Zmarł w Petersburgu bibliograf Mieżów, autor dzieła zaznaczającego się w literaturze rosyjskiej: „Bibliografii Syberyjskiej.“

— Warszawskie Tow. Dobroczynności otrzymało znaczny zapis testamentowy, uczyniony przez hr. Eligiusza Suchodolskiego, właściciela dóbr Gościeradów, w powiecie Janowskim. Dobra te, nieobeciążone żadnym długiem nawet pożyczką Tow. Kredytowego ziemskiego, przedstawiają wartość około dwóch milionów rubli. Obok tego brat testatora, hr. Edmund Suchodolski, otrzymał 100.000 rs., przytem zmarły poczynił legaty dla służby. Rozległość dóbr Gościerady wynosi 800 włók.

— W Monachium utworzyło się „Towarzystwo Pomocy“ dla kształcących się tam w zakresie sztuki ziomek naszych. Towarzystwo, pozostające pod protektoratem artystów naszych, profesorów: Józefa Brandta, Alfreda Wierusz Kowalskiego i Władysława Czachurskiego, dzieli się na trzy grupy: honorowych, ofiarujących jednorazowo 100 marek, założycieli, ofiarujących najmniej 25 marek i składkę miesięczną, wreszcie zwyczajnych, płacących co najmniej jedną markę miesięcznie.

— Henryk Siemiradzki, przybywszy do miasta naszego, wystawił w salonie Tow. Sztuk pięknych najnowszą swoją pracę „Szkie do kurtyny“ którą posiada teatr krakowski.

— Starożytna świątynia miasta naszego, kościół Panny Maryi na Nowem Mieście został odświeżony z zewnątrz, a ponad płaskorzeźbami zdobionymi portyk, wmurowano tablicę z napisem łacińskim „Domus Dei, an. 1411. Deo dicata, anno 1890 funditus restaurata.“ Także kościół Najświętszej Pianny na Lesznie został odnowiony, całe sklepienie pomalowano klejowo, ściany świątyni olejno. Liczne ofiary osób prywatnych przysły tu z pomocą; p. S. Frölich zaprowadził własnym kosztem oświetlenie gazowe świątyni, I. Slenker odświeżył wszystkie świeczniki i żyrandole.

— *Prawda* zamieściła niedawno w łamach swoich życzenie, aby ktoś objaśnił: jakim jest stan ducha tych tysięcy ludzi, którzy rok rocznie odbywają pielgrzymkę do Częstochowy, wiążąc się w kompanie? Odpowiedź na to zamieścił w *Kuryerze Warszawskim* p. Ed. Jankowski, pisząc, że tłumy te śpieszą tam „po lekarstwo cudowne“ na cierpienia duszy i ciała. Opis całego stanu ducha tych ludzi jest skreślony ze znajomością wielką naszego ludu i uczuć serca ludzkiego, które wierzy, kocha, i potrzebuje lekarstwa na cierpienia, na tęsknoty za wyższym ideałem, niż go daje życie pozytywne.

— Dnia 6 go Czerwca nastąpił czwarty z kolei wyjazd dzieci na kolonie i wyjechało na kolonie letnie do Kuchar sześćdziesiąt dziewcząt wyznania mojżeszowego. Lekarzem delegatem tej kolonii jest D-r Reut, lekarzem niosącym pomoc na miejscu D-r Rutkowski z Płońska; przez lato przebywać będzie w tej kolonii 180 dzieci. Dnia 7-go wyjechało 25 chłopców do Dzierzbie, gdzie właściciel tej wsi, p. Wincenty Walewski, wraz z sąsiadem swoim p. Jerzmanowskim z Niwek, zaopatrują kolonię w pożywienie, to jest w mleko, mąkę, jarzyny, oraz mięso skopowe. Opiekę duchową nad kolonią ma ksiądz Krukowski, pleban miejscowy. Jednocześnie wyjechało na kolonię Psary 40 chłopców, których łaskawie przyjmuje Towarzystwo przemysłowe Leśmierz a nadzór prowadzi tu dyrektor miejscowy, p. Władysław Boetcher; lekarzem delegatem tej kolonii jest D-r Orzeł, lekarzem miejscowym D-r Legis z Ozorkowa.

— Wszystkie kąpielowe miejsca Galicji przeszły pod nowy zarząd, który usiłuje postawić je na stopie wód zagranicznych. Krynica otrzymała wiele ulepszeń i hr. Kazimierz Badeni, namiestnik,

zawiedził je z protomedykem, zarządzając potrzebne tu zmiany, między którymi najważniejszymi są: rozszerzenie i odpowiednie urządzenie łazienek, oraz budowa kolei do Muszyny, przez co miejscowość ta złączyłaby się z ruchem ogólnym. Szczawnica przeszła w ręce nowego dzierżawcy, który poczynił przygotowania, aby i zimowy sezon mógł przyjmować osoby szukające tu kuracyi, gdyż, zdaniem lekarzy, Szczawnica posiada wszelkie warunki, aby stała się stacją zimową dla osób dotkniętych chorobą piersi lub gardła. Droga prowadząca ze Szczawnicy na Pieniny, na Czerwonny Klasztor, stała się przystępną dla powozów, przy tem urządzono komunikację łódkami po Dunajcu. Rabka, której zakład kąpielowy jest własnością hr. Mieroszewskiego, także ma być wkrótce postawiona na stopie pierwszorzędnych zakładów kąpielowych. Iwoniecz i Rymanów, dotknięte w roku zeszłym przez niesłychane burze, trąby powietrzne, doszły już do należytego porządku; drogi i mosty naprawiono, stare wille i łazienki przebudowano, a parki i skwery wdzięcznie wabią oko zielonością. Sezon kąpielowy rozpoczął się, przy wczesnej, pogodnej wiosnie, w połowie maja.

— W Paryżu urządzono na Montmartre staraniem radykalisty Clovisa Hugues wykłady ateizmu; nie brakło wykładających ale słuchaczy nie było i na dwóch prelekcjach znajdował się jeden słuchacz, podróżujący Anglik, który chciał się przekonać: jak znaczną jest liczba ludzi hołdujących tej doktrynie? Że Paryż nie mieści wiele osobistości takich, dowiodły te odczyty.

— Skoro Joanna d'Arc została zaliczoną w poczet błogosławionych, odezwały się liczne bardzo głosy o ustanowienie wielkiego na całą Francją święta w dniu jej urodzin, albo w rocznicę zdobycia przez nią Orleanu. Duchowieństwo przychyliło się do tego żądania i z kolei odbyło się kilka wspaniałych uroczystości; uwieńczono kwiatami wszystkie posągi Dziewicy, w Reims wspaniała uroczystość zgromadziła wielotysięczne tłumy. Nadaremnie pewna liczba radykalistów wystąpiła z protestem: lud francuzki na całym obszarze kraju pragnie widzieć w Dziewicy Orleańskiej świętą, do której się modlił.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się *Zuch dziewczyna*, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, T. II., ark. 2.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Korrespondencya zagraniczna. — Z wystaw malarskich (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 2-gi T. II, *Zuch dziewczyna*, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 31 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.